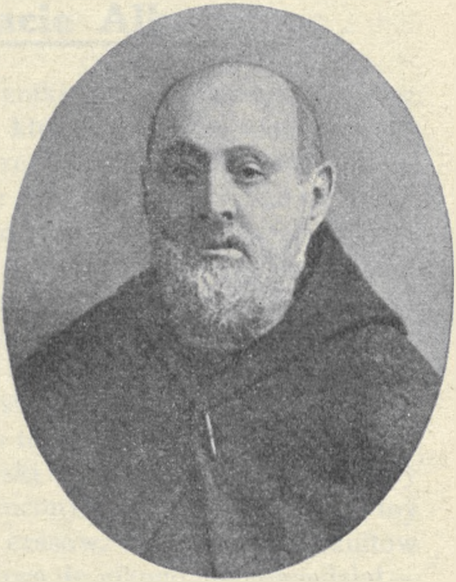
NASZA MYŚL

1934
LIPIEC — SIERPIEŃ
Nr. 4



SZERZY KULT BRATA ALBERTA

★

OMAWIA ZAGADNIENIA ZWIĄZANE Z IDEOLOGJĄ DZIEŁA BR. ALBERTA

★

PRZYNOSI WIADOMOŚCI Z DOMÓW ALBERTYŃSKICH

★

NASZA MYŚL

Ks. Metropolita Andrzej Szeptycki.

Wspomnienia o Bracie Albercie.

Widzę go jeszcze, jak ręcznikiem ociera ze śniegu twarz, głowę i płaszcz Brata Alberta, który ze mną ze spaceru wstąpił do Państwa Witkiewiczów; ze śmiechem zwraca się do mnie: «On tak o siebie nic nie dba, że tego śniegu nawet ze siebie nie strzepałby, — ot tak, i szczotką jeszcze trzeba ten płaszcz wyczyścić». A Brat Albert spokojnie te usługi przyjmuje, rad z tego, że dawna artystyczna atmosfera znowu go otacza. «Za dawnych czasów monachijskich, opowiadał mi Witkiewicz, Chmielowski u wszystkich kolegów miał reputację znakomitego krytyka tak, że nieraz koledzy przynosili mu czy szkice czy obrazy, a on robił im swoje uwagi; na te uwagi tak byli wrażliwi, że wystarczało, by się Chmielowski skrzywił, a obraz był czy przemalowany, czy w ogień rzucony. Teraz, to on swobodny i wesoły tak, jak za dawnych czasów, ale kiedy od Jezuitów wystąpił — to cztery miesiące słowa do nikogo nie powiedział — a tak jadał, jakby przez lata nie miał nic w ustach».

Drugi raz w Zakopanem spotkaliśmy się kilka lat później; wtedy zawiózł mnie Brat Albert do tej pustelni, zbudowanej daleko w lasach nad Kuźnicami. Istna pustelnia. Na saneczkach o jednym koniu, tak niskich, że ręką można było w każdej chwili dotknąć ziemi, drogą czy prędzej ścieżką wśród wysokiego lasu, spinającą się bardzo stromo w górę, jedzie się w tę krainę, której zdaje się noga ludzka może jeszcze nie deptała. Zanim się dostaniemy do właściwego eremu, podobnego do tych franciszkańskich eremów włoskich, tak poetycznie opisanych przez Joergensena — trzeba przejechać koło tego klasztorku, który dla zwykłych śmiertelników byłby czemś więcej jak pustelnią, a który dla właściwego eremu albertyńskiego, jest jakby bramą — czy przednią strażnicą.

Brat Albert miał takie o życiu zakonnem pojęcie, że gdyby nie wstrzymywała Go służba miłości bliźniego, służba ubogich — którą Opatrzność Boska postawiła na Jego drodze — On, zdaje się, ani dnia nie zostałby na świecie między ludźmi — a skryłby się gdzieś na pustyni wśród dzikich, nieprzystępnych lasów, żeby tam oddać się modlitwie i wpatrywać się w Boże piękno, prawd Bożego Objawienia, i w oblicze Pańskie w miłosierdziu, zwrócone do nędznego ludzkiego rodzaju. Gdyby był poszedł za swojem upodobaniem, byłby budował samotne Alwernje i braci swoich byłby wiódł drogami mistycznych kontemplacyj. Ale któż zajmie się tymi opuszczonymi od wszystkich? Któż pobuduje domy, któreby na nocleg przyjmowały bez wyjątku wszystkich, którzy się tylko zgłoszą — bez żadnego względu — na ich ilość, na ich ubranie, albo brak tegoż ubrania, na nędzę, na brud, na wszy? Któż obejmie uściskiem miłości tych najbiedniejszych i najwstrętniejszych? Któż to zrobi, jak nie ten, kto z miłości do Pana Boga opuścił świat dla pustyni, a rozkosze pustyni dla ciężkiej służby ubogich? Gdy znajdzie się taki człowiek, to nawet wtedy, kiedy będzie najniezdolniejszy do technicznej strony organizacji, Bóg przez niego zorganizuje i zbuduje dzieło, któregoby ręka ludzka nie zbudowała.

Brat Albert nie jest organizatorem; mimo wszystko jest On jeszcze zawsze artystą. Kiedy rozgada się o artyźmie, o malarstwie, o obrazach, o szkołach, o «*plain — aire'ach*», to zapomni się, że biedny brat Witalis będzie musiał dziesięć razy przypominać: «proszę Brata, już 6-ta godzina» — Brat Albert nie słyszy i dalej rozmawia — i znowu półgłosem «proszę Brata» i już dyskretnie za rękaw ciągnie, żeby zwrócić na siebie uwagę. Ale Brat Albert, bardzo daleki myślą, kąpie się w przestworzach niebieskich na skrzydłach twórczej fantazji, wznosi się ponad poziomy ludzkiego życia, dziwi się tworom nowożytnej szkoły, «stylowi parkanowemu». Początkującemu artyście, przedstawiającemu swoje arcydzieło, oznacza je jednem słowem: «bohomaz», i dalej zatapia się w rozmowie i na brata Witalisa zupełnie nie uważa. «Proszę Brata, na noc do domu nie wrócimy» — gdzietam, ani słyszy, dalej rozprawia.

Może być, że ciężko Mu z tą niedobrze dopasowaną i od lat nie naprawianą protezą — zamiast nogi — za wielkim tru-

dem dla Niego wracać do domu, do schroniska ubogich, żeby tam na twardej pryczy przebywać ciężką noc.

Nieraz nocowałem w schronisku z Bratem Albertem w jednym pokoju i byłem świadkiem, jak ciężki był Jego odpoczynek; godzinami całemi nie sypiał; czy ból nogi, czy twarda deska — dosyć, że o jakiejkolwiek godzinie w nocy budziłem się — prawie zawsze spostrzegałem, że Brat Albert nie śpi.

Jednym z problemów — jaki Go najwięcej męczył, było: jak urządzić życie zakonników, żeby mogli do słowa spełniać przepis pierwszej reguły św. Franciszka, żeby nigdy pieniędzy żaden brat nie dotknął. Bądź, co bądź, franciszkański ideał ubóstwa był w życiu Brata Alberta i braci tak urzeczywistniony, że nie wiem, czy w kilku ostatnich wiekach można stwierdzić równie szczere i usilne starania do wprowadzenia w życie św. Ewangelji. Brat Albert, rzeczywiście nic nie posiadał. Ta gruba niebieska chustka, którą wyciągał z rękawa, była tak oczywiście wspólną dla całego domu, że sama sobą świadczyła o wykluczeniu wszelkiego przywileju dla przełożonego. A kto bywał w pokoju gdzie Brat Starszy sypiał, ten wie, że tam nie było nawet żadnej szuflady, zastrzeżonej dla Niego. Gdzież książka duchowna — którą czyta? — oczywiście teraz w ręku drugiego, czy trzeciego brata, oprawiona w proste żaglowe, ścierkowe, czy workowe płótno — to samo stwierdza, że jest wspólną własnością całego domu. A ta książka znowu, choć tylko Bratu Albertowi służy — bo to francuskie wydanie św. Jana od Krzyża — jakiem jest rozczulającem świadectwem Jego ubóstwa. Popatrzcie na oprawę — nawet na kartki — jak polepione, a spostrzeżecie, że ta książka po kilkunastu latach będzie zachowana, jako bardzo cenna relikwja. Chrystusowy świadek — ubóstwem całego życia — dał Chrystusowi świadectwo, używał tej książki, nie posiadając jej i nie uważając jej za swoją i dlatego królowie przyszłych pokoleń będą ją ze strachem i drżeniem uszanowania całować.

W rok, czy dwa lata potem miałem szczęście znowu przeżyć tydzień z Bratem Albertem w Werhracie. Po misji danej w miejscowej parafji zamieszkałem w Klasztorku Braci. Ubrać się w ich habit, ściągnąć biodra paskiem św. Franciszka, przysłuchiwać się rozmowie braci — i z Bratem Albertem godzinami rozmawiać — to rekolekcje lepsze może od jakichkolwiek innych. Bo o cóż idzie w rekolekcjach — jak nie o to, ażeby

sobie przypomnieć, jak marne są wszystkie dobra świata, jak krótkie życie, jak trzeba się spieszyć, by zbierać nagrodę na wieczne życie — jak Pan Bóg tajemnice swojej mądrości zakrył przed mędrcami, a objawił je maluczkim.

Dlaczego „Albert"?

Chrzestne imię Brata Alberta brzmiało Adam. Imię Albert było przybranem imieniem zakonnem. Dlaczego Adam Chmielowski, przywdziewając habit zakonny św. Franciszka, przybrał sobie imię Alberta, nie wiemy, możemy tylko snuć mniej lub więcej prawdopodobne domysły. Być może, że pobudką do wybrania sobie tego imienia była wielka cześć żywiona przez Adama Chmielowskiego dla niedawno kanonizowanego, uczonego Dominikanina, św. Alberta zwanego Wielkim. Prawdopodobnie także dlatego właśnie to imię wybrał sobie Brat Albert, że chciał uczcić pamięć swego ojca, któremu było Wojciech, co znowu po łacinie wyraża się słowem Albert. Źródłowe znaczenie obu imion jest jednakowoż całkowicie różne Wojciech bowiem znaczy tyle, co pociecha «wojska», czyli mnóstwa a raczej «pospólstwa», jak mamy w starej pieśni: «z wojskiem tych ludzi». Albert natomiast znaczy w języku staroniemieckim: jaśniejący szlachetnością. Imię «Albert» zatem nie jest bynajmniej tłumaczeniem imienia «Wojciech». Powód, dla którego słowiańskie imię «Wojciech» wyraża się w łacinie oraz innych językach słowem «Albert», albo «Adalbert», leży w tem, że chrzestny ojciec św. Wojciecha nazywał się Adalbert i to swoje imię nadał chrześniakowi Wojciechowi, gdy mu udzielał sakramentu chrztu w r. 961. Św. Wojciech nosił zatem dwa imiona, dawne Wojciech oraz chrzestne Adalbert, czyli Albert, które w polskiej wymowie brzmiało jeszcze: Albrecht, Olbrycht, Olbracht i t. p.

Brat Albert zatem, ukrywając swoją osobę pod przybranem imieniem Alberta, czyli Wojciecha, złączył w sobie źródłowe znaczenie obu imion i wyraził je przykładem swojego życia, albowiem rzeczywiście «jaśniał szlachetnością» jako Adalbert, oraz był «pociechą pospólstwa», jako Wojciech.

br. W.

O lepsze jutro.

Gdy rozczytuję się w rozlicznych dziełkach czy pismach o działalności Brata Alberta, płynie z nich zawsze jedna nuta bezgranicznego i nadludzkiego poświęcania się nędzarzom i bezdomnym, niesienia ulgi w ich tragicznie zgotowanem wbrew woli, czy też z własnego upadku — życiu.

I wówczas wprawia mię w jakiś ogromny podziw i zdumienie postać tego niepowszedniego człowieka, który widząc sponiewieraną godność ludzką, nie cofa się przed nią, ale przeciwnie idzie tam z rozpromienioną twarzą, ze stanowczą wolą, by wśród tego środowiska, składającego się od nieszczęśliwych, a skończywszy na wyzutych z wszelkich uczuć kłębowiskach ciał ludzkich, koić zbolałe oraz rozgrzewać zatwardziałe i zlodowaciałe na wyrzuty sumienia serca.

Co kierowało duszą Tego wybitnego artysty-malarza złączonego węzłami przyjaźni z najwybitniejszemi rodzinami w kraju, z wysubtelnioną wrażliwością do ostatecznych granic na wszystko co niskie i grzeszne? Wszak sam wielki esteta, głęboko religijny, kochający piękno świata, jako twór Boży, idzie z jakąś ukrytą odwagą do przyziemnych nor, by wśród bezdomnych, najgorszych nieraz instynktów poświęcić swe życie Bogu, nieść pomoc, wiarę i otuchę, podnosić upadłych i rozniecać tkwiącą w głębi ich serc iskrę nadziei, ratunku i lepszego jutra.

«Przeciwko nienawiści, — pisze Brat Albert — zazdrości i chciwości ludzi obecnych czasów, wiąże Trzeci Zakon braterstwo ludzi wszystkich stanów i warstw na wspólnym gruncie wiary, miłości, pobożności, pokuty i miłosierdzia — słowem wspólnych zasad Bożych. Jestto więc dzieło głęboko humanitarne i patrjotyczne... gdzie na podobieństwo innych zakonów, króluje czynna miłość, a wszyscy, jako dzieci Ojca Niebieskiego, dążą do wspólnego celu, wspólnemi środkami i przez to tworzą się jednostki, rodziny i społeczeństwa prawdziwie katolickie, potężne i groźne dla nieprzyjaciół krzyża. Gdy się dokona w każdej parafji, w każdej diecezji, w całej

Polsce, na całym świecie katolickim, jakaż potęga duchowa wyrośnie przeciw bezbożności i wszelkiej niegodziwości»!

A więc te wzniosłe uczucia, wyryte głęboko w Jego sercu kierują kroki do tych zaułków bezdomnych, tam wprowadza je w czyn, rozszerza wśród bliższego i dalszego otoczenia, skupia wokoło siebie naśladowców i wiąże ich regułą św. Franciszka z Assyżu w Zgromadzenie Braci usługującym ubogim.

Jakżeż te słowa pisane przed 50-ciu laty są dziś nam bliskie, znane i aktualne. Brutalna, pochłaniająca miljony istot ludzkich wojna światowa niszczy wiekową kulturę, która cofa się o całe wieki wstecz, a szalejący obecnie w świecie kryzys, jak straszliwa pożoga, niesie nędzę, rozpacz, deprawację dusz i zgniliznę moralną. W ogólnym chaosie powojennym wypełzają najgorsze instynkta nienawiści, egoizmu, sobkostwa, zaciera się w sercach litość i współczucie dla bliźnich i ich tragedyj życia wprowadzając całe narody w błędne bez wyjścia koło.

To też dziś — może jak nigdy przedtem — powinniśmy wypowiedziane ongiś przez Brata Alberta słowa przeciwstawić «przeciwko nienawiści, zazdrości i chciwości ludzi obecnych czasów», a łącząc się wspólnemi węzłami w miłości bliźniego i poświęceniu, «stworzyć braterstwo wszystkich ludzi, wszystkich stanów i warstw na wspólnym gruncie wiary, miłości, pobożności, pokuty i m i ł o s i e r d z i a»...

Wacław Dutkiewicz.

...Człowiek, który z jakiegokolwiek powodu jest bez odzieży, bez dachu i kawałka chleba, może już tylko kraść, albo żebrać dla utrzymania życia; w tym bowiem nędznym stanie najczęściej nie jest zdolny do pracy i nie łatwo też ją znaleźć może. Jeżeli więc niema w mieście dla poratowania takich ludzi odpowiedniego zakładu, pozostaje tylko do zastosowania względem nich policji, sądów, więzień, lub szpitala; takie zaś zastosowania są o tyle fałszywe, o ile w skutkach ujemne...

BRAT ALBERT.

„Pogrzeb samobójcy“.

Przeglądając stare roczniki znalazłem w jednym opis dość legendarnego obrazu «Pogrzeb samobójcy» Brata Alberta. Obraz ten prawdopodobnie należał do cyklu obrazów wystawionych swojego czasu w Warszawie, do którego zaliczał się równie sławny obraz «Ogród Miłości». Jak wielkie wrażenie wywierały obrazy Adama Chmielowskiego, późniejszego Brata Alberta, świadczy fakt, który opowiadają starsi ludzie, że ktoś ze zwiedzających wystawę pod wrażeniem treści dzieła popełnił samobójstwo. Wobec tego wszystkie obrazy, które stały się przyczyną niespotykanego dramatu, zostały ręką twórcy zniszczone, a tylko «Pogrzeb samobójcy» ocalał i został wcielony do zbiorów krakowskiego Muzeum Narodowego. Tu jednak z braku pomieszczenia dzieli prawdopodobnie los tylu arcydzieł sztuki polskiej, spoczywających bezużytecznie w magazynach muzeum.

Krótką wzmiankę o miejscu pobytu, jak i o treści obrazu podał w «Placówce» z r. 1919 p. dr. St. Zarewicz w artykule: Żołnierze-artyści. Pisał on:

...W szary dzień jesienny, drogą pełną błota, bo siecze silny deszcz i panuje dotkliwe zimno, jakiś biedak ciągnie na małym wózku z kilku desek zbitą drewnianą trumnę ze zwłokami samobójcy. Za trumną w miejsce rodziny i przyjaciół postępuje biedna psina ze spuszczoną głową ku ziemi.

Dziwne i smutne uczucia czyni ten obraz na widza. Widać, że artysta odczuł tu głęboko ciężką dolę samotnika, on, który wiele widział nędzy na świecie, wszystko porzucił, całą przyszłość-artystyczną i oddał się na usługi ubogich i nędzarzy.

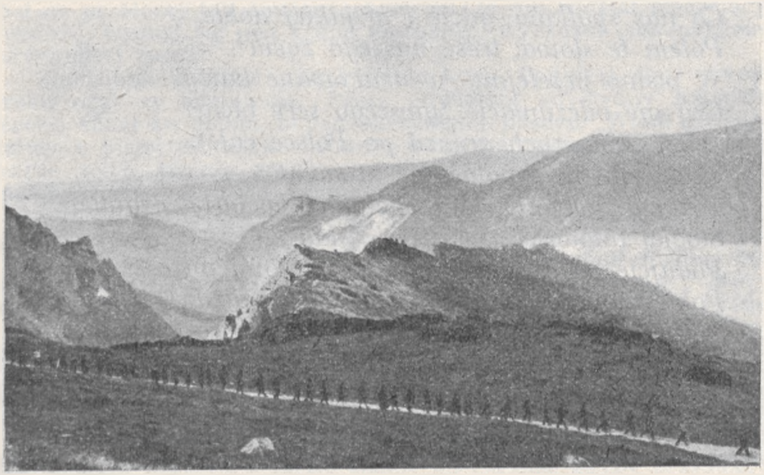
Dawniej tragedja złamanego życia nawet na obrazie potrafiła wstrząsnąć ludźmi, gdy dziś nad tylu tragedjami przechodzimy do porządku. Możliwe, że ten człowiek, który przejął się tak dolą samobójcy, dziś ozięble dorzuciłby uwagę, że tytuł dzieła powinien opiewać: «Ofiara kryzysu». Ludzkość postępuje naprzód.

Włafig.

BRATNI ZNAK

Pismo dla młodzieży zakładów wychow. br. br. Albertynów

Bezpłatny dodatek do 4 nr. „NASZEJ MYŚLI"



Gęsiego do Morskiego...

NIEWAKACYJNE WSPOMNIENIE

Druhowie serdeczni! Wspomnijcie te jasne, niezapomniane chwile naszego zjazdu we Lwowie. Musicie je przecież dobrze pamiętać, bo takich jasnych dni nie wiele mieliście dotąd w życiu. Zresztą, czy mogą ujść pamięci owe jesienne, lwowskie wieczory, kiedy to w dolnej sali pięknie przybranej zbierała się brać albertyńska z Krakowa, Lwowa, Przemyśla, z odległego kresowego stanisławowskiego grodu na wspólną zabawę, przyjacielską pogawędkę. Takie to było wspaniałe, wzruszające, że często snem się wydaje. A przecie jednak przeżyliśmy te chwile... Ja tam również byłem, ale co jadłem i piłem, nie powiem...

Posłuchajcie Druhowie-Koledzy. Dziś jesteśmy wprawdzie oddzieleni przestrzenią, ale przy czytaniu tych słów złączmy się duchem i stwórzmy takie lwowskie, przyjacielskie koło. Niech nam zagra stanisławowski «jaz», niech w śpiewnej lwowian mowie serdeczne płyną słowa, niech koleżeńskość przemyślan

serca nam podbija, a ja w imieniu «mazurów» kilka prostych słów dorzucę. Ja Wam powiem:

...Tam we Lwowie stała się wielka rzecz.
Wy się nie śmiejcie, bo tam nastało zbratanie serc.
Dziś nam zbratanym do pracy trza się brać,
Naszemu zbrataniu znak trwały dać.
Już bez uprzedzeń, lecz w miłej zgodzie,
Czarno na białem piszmy o sobie:
Z czego się cieszym, co nam serca bodzie,
Co nas spotkało, gdzie i w jakiej dobie.
Potem te słowa, treść naszego życia
W pismo przelejmy, w drukowane karty.
Czy nie odczuwacie żywszego serc bicia?
Wieść z naszych gniazd po Polsce całej,
Tysiącem dróg pobiegnie w świat...
Cóż wy powiecie, jeśli po latach w gazetce małej
Swojej młodości znajdziecie ślad?
Podajcie więc dłoń, do pracy stańmy wraz
Połączmy czynem macierzyńskie gniazda,
Węzłem przyjaźni, którego żaden nie rozerwie czas;
Niech żyją Warszawa, Kamionka, Przemyśl i kresowe miasta,
A z grodu, gdzie straszną hydrę zwalczył dzielny Krak
Niech krzepi serca albertyński «BRATNI ZNAK»!

Władig.

Jaki powinien być nasz bratni znak?

Podczas wakacji masz dużo wolnego czasu, więc weź udział w naszym pierwszym ogólnym konkursie i nadeślij odpowiedź na powyższe pytanie. Rozwiązaniem powinno być krótkie hasło, wiersz, lub starannie wykonany rysunek. Trzy najlepsze projekty „bratniego znaku" zostaną nagrodzone i wydrukowane w najbliższym numerze B. Z.

Termin nadsyłania odpowiedzi upływa z dniem 10 sierpnia 1934 r.

CO SIĘ KALACIE W GÓRACH PRZYTRAFIŁO.

Słońce przypiekało coraz to silniej w niedzielne, lipcowe przedpołudnie, gdy bogaty gazda Kalata wspinał się od swojej hali ku górze, ku przełęczy, którą w góralskiej gwarze zwano «Na Patykach». Przywędrował przedwczoraj z domu, ze wsi swej Szaflar, leżącej dobre dwie mile od Zakopanego, do swoich owiec, do wnętrza gór, na halę, co się u podnóża Giewontu rozłożyła a od jego nazwiska wzięła nazwę Kalatówek.

Zobaczył, że owce i dobrze się pasą i wełnę mają puszystą i mleko dają tłuste, że żadna nie spadła ze skały; wywiedział się, że niedźwiedź im teraz nie zagraża, bo widziano go hen aż w Chochołowskiej dolinie; obejrzał serki i bryndzę i rad ze swego dobytku, dumny i syty dobierał się ku krewnym żony, co po drugiej stronie przełęczy tuż przy dolinie Białego mieszkali. Szedł w górę wolno, bo raz po raz oglądał się i patrzył z zadowoleniem, jak pasły się jego owce rozsypane po zboczu, jak potem schodziły ze skał za pasterzem — to znów — pod przewodem jednej, najmądrzejszej — szły tam, gdzie pasterz prowadzić je zechciał.

Tymczasem, w miarę jak Kalata podchodził ku przełęczy, wyrastał za halą wał górski. Słońcem oblane szczyty Kasprowego, Goryczkowego, Świnicy błyszczały i mieniły się cudnemi barwami. Kalata stanął na przełęczy tak znużony skwarem, że nie widział otaczających go cudów, wsunął się pod grupę smreków, wyszukał cień najgłębszy i natychmiast zasnął.

Zbudził go poszum piór i rżenie koni. Podniósł się i otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Przez powietrze od strony Kalackiego Wierchu sunął ku niemu hufiec skrzydlatej husarji. Wiódł go rycerz sędziwy, o białej jak mleko brodzie, we wspaniałej, błyszczącej zbroi. Rycerze mieli twarze groźne, — a spojrzenie tak przenikliwe, że w pewnym siebie gaździe serce zamarło.

— Czy wiesz, co się dzieje w tej chwili w Zakopanem? — zapytał przywódca. — Nie wiem — wyszeptał przerażony góral.

— Dzieją się wielkie rzeczy. Bóg-Człowiek stąpił między ludzi, stanął na ołtarzu, przyniósł swe dary i łaski, czeka na ludzi, których nakarmić chce swem Ciałem, napoić Krwią, ożywić swym Duchem.

— Przebaczcie — darujcie życie... — wyjąkał góral, widząc, że rycerze chwycili za miecze, jakgdyby go chcieli zasiekać.

— Przebaczyć, a czy ty pojmujesz swą winę? — zapytał przywódca. — Czy nigdy już mszy św. nie opuścisz? — Nie opuszczę — póki życia — tak mi dopomóż Bóg! — przysięgał blady góral.

— Pamiętaj! — powiedział przywódca z taką groźbą w głosie, że Kalata zadrżał na myśl o karze, jakaby go czekała, gdyby przysięgi nie dotrzymał.

Wtedy hufiec rycerski na rozkaz wodza zawrócił z miejsca i ruszył przez powietrze ku skale Kalackiej. Zafurczały skrzydła ponad halą a góral patrzył szeroko rozwartemi oczyma, jak dojechawszy do skały wszyscy rycerze zwrócili się raz jeszcze ku niemu potrząsnęli groźnie mieczami i znikli za turnią.

Widzenie znikło, ale nie znikła nigdy z duszy Kalaty pamięć o ślubowaniu złożonem rycerzom, którzy dla jego ocalenia wyruszyli z głębin skalnych, zjawili się przed nim i uratowali go od ślepoty i zatraty duszy.

Stanisław Niedźwiedź.

Powyższe opowiadanie słyszałem na Kalatówkach z ust górala, krewnego Kalaty. Hala Kalatówki leży u podnóża Giewontu o pół godziny drogi od Kuźnic, jest znakomitym terenem narciarskim, posiada obok szałasów góralskich schronisko turystyczne, otwarte przez cały rok. Po drodze na halę, w lesie wznoszą się obecnie dwa drewniane kościółki polskiego Zgromadzenia Sióstr Albertynek i braci Albertynów.

(«*Orlątko*»)

Nie trać nadziei nigdy... nigdy...
Kto ma wolę, ten wszystko pokona.
Beniowski (Słowacki)

Z włóczęgi po Tatrach

Ilekroć wspominamy Tatry, nasze mniejsze czy większe wycieczki, to dusza się w nas raduje i żal nam tej minionej przeszłości. Tęsknimy za tatrzańskiemi wierchami, bo kto je raz poznał, to musiał pokochać. My z Warszawy, aż trzy razy jeździliśmy do Zakopanego, a mianowicie w r. 1929, 1931 i 1932, więc mieliśmy je czas pokochać i bardzo dokładnie poznać.

Tyle tam miłych chwil przeżyliśmy, tyle przygód, tyle wrażeń odnieśliśmy, że trudno w krótkim artykule chociaż o części wrażeń z jednej wycieczki wspomnieć. Jednak opiszemy tu jedną wycieczkę przez Rysy na czeską stronę, na najwyższy szczyt Tatr, — Garłuch.

W jednym dniu przeszliśmy górami przez Zawrat, dolinę Pięciu Stawów i Świstówkę do Morskiego Oka. Tu zanocowaliśmy w suterynie schroniska na stołach i ławach, bowiem zpowodu deszczu nie mogliśmy rozbić obozu pod gołem niebem. O czwartej rano zbudził nas dyżurny zawiadomieniem, że herbata gotowa. Krótki posiłek, kąpiel w Morskiem Oku i wymarsz na Rysy, które nurzały się w zwałach chmur i mgieł. Droga, wynosząca około 2 km w prostej linji, choć dość przykra, nie stanowiła żadnej trudności pokaźnej gromadce, bo złożonej z 39 młodzieńców objuczonych ciężkimi plecakami. Na Rysy wyszliśmy o godzinę wcześniej, niż się spodziewaliśmy. Przekroczywszy granicę zeszliśmy drogą szeroką i nadzwyczaj wygodną do Popradzkiego Stawu. Miłe robi wrażenie staw ze schroniskiem z dwóch stron otoczony górami, ale nie ma już tego uroku, co nasze tatrzańskie oka, widne zdaleka, tu zaś z odległości 50 m jeszcze go nie widać. Po dobrym wypoczynku ruszyliśmy przez las i tak doszliśmy do szosy asfaltowej, wiodącej do Szczyrbskiego Jeziora. Nudna i przykra była droga do Westerowa, mimo, iż szliśmy szosą nie wiele gorszą od jezdni przy Marszałkowskiej ulicy w Warszawie. Po przejściu 30 km stanęliśmy u celu naszej dziennej wędrówki i etapu wycieczki. Spodziewaliśmy się znaleźć w małem miasteczku, a byliśmy w posiadłości pewnego lekarza, w osadzie samych senatorjów. Przy sposobności daremnego poszukiwania sklepu, spotkaliśmy pewną Polkę, która na dźwięk naszej mowy wdała się z nami w rozmowę. Dzięki niej uzyskaliśmy u zarządczyni senatorjum kotłów i wody gotowanej, a również mogliśmy coś z wiktuałów u niej zakupić. Ulokowano nas w stodole pełnej siana, gdzie potem jeden koło drugiego po kolacji i modlitwie na zasłużony wypoczynek ułożyło się setnie znużone bractwo... Jak kto spał nie wiem, ale można się domyśleć. Mnie około północy obudziły grzmoty i deszcz ulewny.

Nazajutrz gdzieś po godz. 8-mej wybraliśmy się w dalszą drogę na Garłuch. W drodze do Śląskiego schroniska nieco pobłądziliśmy przez co nałożyliśmy sobie pół godziny drogi.

Począł znowu deszcz padać a na mostku przed samem schroniskiem doszedł nas taki silny wiatr halny, że nie mogliśmy paru kroków do schroniska zrobić. Ostatecznie przy wspólnej pomocy zdołaliśmy zdobyć siłą schronisko, ale odeszła nas ochota od dalszej drogi na Garłuch. Przy fatalnej pogodzie postanowiliśmy przedostać się przez Polski Grzebień do Roztoki. Tymczasem musieliśmy się na jakiś czas zatrzymać w schronisku. Gruba, jak «berta austrjacka», gospodyni bardzo była rada z przybycia tylu gości, ale zrzadła jej mina, skoro się przekonała o pustce w naszych kieszeniach. Ostatecznie wypiliśmy po filiżance zupy grzybowej, po dwie korony

każda, a dokładniej uzupełniliśmy posiłek zapasami z naszych plecaków.

Dalsza droga odbywała się w najgorszych warunkach, jakie sobie można wyobrazić. Odcinek trasy prowadzący od Wielickiego Stawu przez Ogród Wielicki, Długi Staw do górnej części Doliny Wielickiej przeszliśmy wśród szalejącej śnieżycy połączonej z niezbyt przyjemnemi «podmuchami» wiatru halnego. Jeżeli dodamy, że wszyscy byli ubrani tylko w drelichy p. w. to nic dziwnego, że n. p. na moje zapytanie: czy ma kto jeszcze suchą nitkę? przychodzi jeden z uczestników i z powagą pokazuje pod paskiem od spodni kawałeczek suchej odzieży. Inny znowu zapytany, czy zjadłby co, odpowiada, że chętnie, tylko że teraz nie może, bo jadaczka mu zamarzła. «Choć głodno i chłodno, wyszlim sobie swobodno»... na Polski Grzebień (2208 m) ze śnieżycą. Na Polskim Grzebieniu nowa czekała nas niespodzianka. Wiatr wprawdzie ustał, ale taka nas gęsta mgła opadła, że po 15 minutach zupełnie straciliśmy orjentację. Ciężko było iść, ale przykrzejsze były chwile niepewności, oczekiwania na jakieś znaki, które by nas upewniły, że dobrze idziemy. Z radością też powitaliśmy Zmarzły Staw, który wówczas miał tylko sam brzeg pokryty lodem. Jak na sierpień, to i tak dość. Szliśmy dalej wzdłuż niego, trzymając się jak ślepy płotu, by nie zbłądzić. W dole natknęliśmy się na odpływ Zmarzłego Stawu. Jak go przebyć? Szeroki na 7 kroków, woda powyżej kolan, ale nadzwyczaj rwąca. Trudniejsza sprawa była z młodszymi, ale jakoś i to poszło.

Tu dopiero powoli zaczęło się rozjaśniać, mgły ustąpiły, deszcz i wicher ustał, słońce zaświeciło i poczęło się uśmiechać serdecznie. Nawet halniak zwalczony naszą wytrwałością zaprzestał swych harców i na przeprosiny począł ubrania nam wysuszać, strzepywać krople deszczu z kosodrzewiny i byłby nas



Kolonja wakacyjna w r. 1925
Lwów—Kraków

całkiem wysuszył, gdyby nie to, żeśmy zeszli już do Doliny Białej Wody. Wchodzimy do szałasu góralskiego na polanie pod Wysoką.

— Pochwalony Pan Bóg.

— Na wieki wieków — odpowiada stary baca.

A macie tam gazdo żentycę?

— Znojdzie sie ta, bracisku. Fronek, a zawieś-ze ta kocioł nad watrom, coby sie zagrzoła.

— Ale nim ona się zagrzeje, to dużo czasu zejdzie, a nam spieszno do Roztoki na noc.

— A hybojze wartko, Franek, niech nie cekajom.

Nim żentyca się nad ogniskiem zagrzała, już jej w kotle zabrakło, bo chłopaki do dna wypili.

— Baco, a jak daleko jeszcze do Roztoki?

— No godzina i trocha trza iść. Pójdziecie prosto, kole tego potoka, a potem troska na lewo i kapkę na prawo, a potem będzie mostek przez Białom Wodę, jak worgany.

— A cóż to za worgany?

— To jest tak bracisku. Kiedyście byli w kościele, toście ta widzieli, jak organista gro na worganach nogami. Noga w górę, noga ku dołu, to tak i wy bedziecie iść przez mostek, bo dyć som dwa długie patyki, niby mostek. Kiej staniecie na jeden patyk, to drugi pójdzie ku dołu, a drugi patyk z drugom nogą ku górze. Dlotego to się nazywają worgany.

Tłumaczył nam dalej stary baca po swojemu dalszą drogę, która nas

jeszcze czekała, ale niewiele z tego zrozumieliśmy. Zapłaciliśmy za żentycę, podziękowali za gościnę i po półgodzinnym marszu doszliśmy do schroniska w Roztoce. Nadzwyczaj serdecznie przyjął nas tam młody inżynier, dzierżawca schroniska i widząc nas zziębniętych i zmokniętych zajął się nami bardzo czule. Wiele serca i dobroci okazali nam również i górale-cieśle, którzy pracowali przy powiększeniu schroniska. Po gorącej herbacie otrzymaliśmy w przydziale połowę pięterka, a nadto każdy otrzymał jeszcze koc, poduszkę i siennik. Kilkakrotnie trzeba było zachęcać do spoczynku, bowiem długo w noc trwały opowiadania o przeżytych przygodach.

W ostatnim dniu naszej wycieczki wstaliśmy o godz. 7-mej, ubraliśmy się w suchą bieliznę i ubrania, a po śniadaniu wyruszyli w drogę do Wodogrzmotów Mickiewicza. Przed tem jeszcze podziękowaliśmy za serdeczne przyjęcie i zapłacili za nocleg według zniżonej taksy członkowskiej. Przy Wodogrzmotach pokropił nas jeszcze raz deszcz i gdzieś koło godz. 4-tej byliśmy na «swoich śmieciach» na Kalatówkach.

Ciężka była przeprawa na tej tatrzańskiej włóczędze, ale tem milej ją się wspomina. Niema nic piękniejszego nad nasze polskie Tatry, a nic przyjemniejszego nad włóczęgę po tatrzańskich szlakach.

Brat albertyn,
uczestnik wycieczki.



Najmilsza chwila podczas włóczęgi...

Krakowiacy i górale.

Spotykali się corocznie na tatrzańskich perciach i kalatowskiej hali, ale trudno im przychodziło żyć w zgodzie. Zdarzało się, i to często, że albo pierwsi grali w piłkę na góralskich łąkach, spuszczali kamienie na pasące się owce, albo drudzy któremuś z naszych coś zabrali i zbili go przy tem na kwaśne jabłko.

Nic dziwnego, że cicha pustelnia przybierała wygląd jakiejś twierdzy z zamierzchłej epoki. Tu i ówdzie przechadzali się tajemniczo milczący, czarni od borówek, uzbrojeni w sękate pały młodzi ludzie. Pod zieloną koszulką coś ostrego sterczało. To «indjańskie» sztylety wystrugane z drzewa. Na

kogo? Na blade spodnie i cuchnące kożuchy. Na nich też spiskowcy porobili w lesie składy amunicji, gdzie w ukrytych jamach gromadzono szyszki, kamienie, ziemniaki. Zbrojono się bez ograniczeń i czekano niecierpliwie na iskrę, któraby podminowane umysły mogła przyprawić o wybuch.

Nagle jak grom z jasnego nieba uderzyła w naszą gromadkę początkujących muzykantów, dmących w tym momencie bezlitośnie w mosiężne trąby, — wieść:

— Górale biją naszych na Kalatówkach.

Trąby poszły w odstawkę a nogi w ruch. W biegu serce tłukło się nie do wytrzymania, a drżące ręce nie mogły trafić z kamieniami do kieszeni. Pod nami jak na dłoni kalatowska polana. Do lasu dobiega dwóch najstarszych «albertów». Opowiadali później, że wcale nie stchórzyli, tylko ustąpili, bo górale mieli rację. Sami stojąc zdaleka, potępialiśmy haniebne ustąpienie z pola bitwy.

Walka toczyła się około szałasów. Grupka kilku ludzi wymachująca ustawicznie ciupagami i kijami wyrwanemi z zagród. Jak lew walczył mistrz podobnej sztuki Antek, który dał się juhasom porządnie we znaki. Nic dziwnego, bo gdy chodziło o czyjeś zęby, oczy, nosy, to takich jak on nie było wielu na przedmieściach Krakowa. Ostatecznie krakowiacy zwyciężyli.

Odchodząc, czuliśmy majestat odchodzącej z tatrzańskiej hali bezlitosnej śmierci, bo i tu dwa młode życia stały się jej łupem. Na skraju lasu w kałuży ciepłej jeszcze krwi leżały świeże trupy... Dwa młode jagnięta, to owoc krwawej walki. Żegnało nas dalekie beczenie spłoszonych owiec. Mnie się zdawało, że i któryś z naszych bohaterów próbował podobnego głosu, ale tak naprawdę.

A dziś? Dziś czasy się zmieniły. Doszło do tego, że np. ile razy któryś z juhasów, albo nawet sam baca, spojrzy na wełniany koc, czy latarkę, pasek albo na swe obute nogi, to ciche westchnienie wyrwie się z jego kosmatej piersi:

— Haj, fajne te krakowskie hłopoki od bracisków s Kalotówek. Zawsze ta wiedzom, co cłekowi trza.

Z nas — zdaje się — tylko jeden krzywo będzie patrzał na mieszkańców sąsiedniej hali, pomny swej zeszłorocznej krzywdy. Ale jeden to kropla w morzu. Dziś żyją w zgodzie krakowiacy z góralami. *Włafig.*

DWAJ WROGOWIE

Maciuś i Burek grzeją się do słonka;
Pies się zbliża do kociego ogonka,
Oczkami na ogonek chytrze wodzi.
Kot udaje, że go to nic nie obchodzi.
Spojrzał na pazury, mruknąwszy zcicha,
Pies niewiniątko zlekka sobie pścicha.
Kot się przeciągnął, otrzepał się z kurzu,
Lecz wreszcie tego mu było zadużo.
Skoczył do kotka pędząc z całej siły
Maciuś między wróble, które się bawiły.
Hop, hop, i już sprytny kotek na płocie,
A Burek nie chcąc darować niecnocie
Prędko hop za nim, lecz na widok płota
Zawrócił na słonko pozbywszy się kota.

Lw. «Szczepko» z kl. 7-mej.

KRONIKA.

Dębniki.

Rzadko na łamach «Naszej Myśli» pojawia się w dziale «Kronika» nagłówek Dębniki. Piszemy dość rzadko ze względu na brak miejsca w ukochanej gazetce. Chcąc teraz wynagrodzić tą paromiesięczną przerwę, postanowiliśmy coś o swem życiu napisać.



Wielka chwila

W ostatnich dniach u nas zaszły dość ważne wydarzenia, a zarazem przeżyliśmy miłe uroczystości. Jedna z pierwszych, to I Komunja św. ośmiu naszych wychowanków. W dzień ten weselili się wszyscy chłopcy ze szczęśliwymi kolegami, a miła uroczystość została także uwieczniona na kliszy fotograficznej. W dniu tym również zakład nasz był do głębi poruszony chrztem dziewięcioletniego wychowanka, co do którego okazało się, że do tego czasu był niechrzczony. Zamknięciem tych ważniejszych wydarzeń był koniec roku szkolnego, a co za tem idzie, dobre lub złe świadectwa naszych wychowanków. Nie wszyscy z nich co prawda, bo z wyjątkiem siedmiu, mogli się cieszyć pięknemi rezultatami swej pracy, ale jednak reszta wyszła po roku zwycięsko. Poza tem obecnie mamy dużo pracy w zakładzie, a także moc zabawy. Dzięki pomocy br. Starszego Wincentego, br. Przeł. Stanisława oraz dzięki niestrudzonym staraniom br. Serafina zakład nasz został gruntownie zreorganizowany.

W pierwszych dniach miesiąca lipca spodziewany jest wyjazd wychowanków na miesięczny pobyt do Ojcowa, którą to miejscowość zawsze mile wspominamy. Narazie tyle wiadomości o Dębnikach. Da Bóg, to za jakiś czas napiszemy więcej, a teraz dajemy miejsce innym bratnim drużynom naszego świątobliwego Założyciela. *Br. W.*

Jedenasta godzina.

W życiu jednostek, jak i społeczeństw wielką nieraz rolę odegrała jedenasta godzina. Wiele złego zostało zażegnane, a nawet sprawy, które zdawały się być przepadłe, w jedenastej godzinie wzięły pomyślny obrót.

Przypominając sobie dzieje przedwojenne w Budapeszcie na Węgrzech, tamtejsze życie religijne, wówczas oziębłe i ospałe porównuję z życiem religijnem, które teraz tam zakwitło, to zaiste można powiedzieć, że Bóg ulitował się nad nimi w jedenastej godzinie. Mała tylko garstka została praktykująca i wierna katolickim zasadom w porównaniu do tych niewiernych i niepraktykujących. Większość żyła hasłem: «raz tylko żyjemy — należy pełnemi haustami wypełniać kielich rozkoszy!» Nie zastanowiano się nad tem, że na dnie tego kielicha kryje się trucizna straszna, która zaprowadzić może na wieczne zatracenie. Zdawało się, że daremny jest trud kapłanów nawoływujących do opamiętania, daremny dobry przykład dusz prawdziwie wiernych i pobożnych. Szał, istny szał wykorzystywania każdej chwili do krótkotrwałej rozkoszy ogarniał tak starszych, jak i młodszych. Zbijano z tropu każdego kto na tyle «zacofanym» się okazywał, że śmiał przeciwstawić się owemu życiu.

Wybuchła wojna światowa. Przez jakiś czas, jakby fala zepsucia się potęgowała. Szło się na wojnę, niewiadomo czy się jutra doczeka — trzeba więc wykorzystać co się da i jak się da! Gorący temperament przełamywał wszystkie tamy.

A ręka Boża już się schyliła, aby dotknąć nieszczęśliwy, bawiący się kraj. Po ukończeniu wojny światowej wybuchł bolszewizm, przez osławionego komunistę-żyda Bela Kunę wywołany, i już zdawało się, że kraj zgubiony — a wtedy to właśnie nastał wielki dzień miłosierdzia Bożego, przynoszący opamiętanie dla biednych, zbłąkanych, omamionych. W tej trwodze nauczyli się uciekać do Boga, zginać kolana w błagalnej prośbie; oczy odwracają ze strachem od dotychczasowego życia, uczą się pokutę czynić.

Z imieniem Boga zgnietli, złamali hordę bolszewicką i uwolnili kraj od czerwonego niebezpieczeństwa. — Bóg jest zawsze miłosierny dla chcących się poprawić. Ci sami, którzy niegdyś może przehulali noce całe, teraz spieszą raniutko do kościoła na Mszę św. i do Komunji św. Dawniej czasu nie starczyło na odmówienie rannych pacierzy, teraz pośpiesznie idą na nabożeństwa. Znajdują i na to dostateczny czas.

W narodzie tym tkwi silna, nieugięta wola i raz powzięte postanowienie za wszelką cenę wykonać muszą. Zapał ich do wielkiego odrodzenia życia religijnego nietylko nie osłabł, ale się wzmacnia z każdym dniem. Miło patrzeć na setki pobożnych w ciszy i skupieniu przystępujących do Komunji św. podczas każdej Mszy. Błyszczą złotem haftowane «attile» oficerów husarji przy skromniej ubranych urzędnikach, młodych panienkach i paniach z wyższej, średniej i niższej sfery. Za-

równo akademicy, robotnicy i arystokraci idą szukać pociechy u stóp Tego, który czeka z utęsknieniem, który nigdy nie zawiedzie, który przemawia z miłością: «Pójdźcie do mnie wszyscy»...

Wszyscy znaleźli drogę, którą dawniej omijali i na niej znaleźli ukojenie, spokój i ufność w lepsze jutro.

Refleksje powyższe są następstwem zauważonego przeze mnie coraz większego zobojętnienia w wykonywaniu obowiązków religijnych. Widzę i u nas coraz mniej wiernych na rannej Mszy św. Kto wstaje i idzie do kościoła rano? Kilka starych kobiet, a zaledwie niewiele osób z inteligencji i to przeważnie takich, którzy śpieszą potem do swoich zajęć. To samo przynosi niedziela. Podczas Mszy św. z kazaniem niewielu jest z «młodszych», można ich policzyć, natomiast na «dwunastówce» przepełnienie. Jest to dla nich wygodnem, bo cicha Msza św. prędko się skończy, niema «nudnych kazań»... Niestety, tak się często słyszy, aż nazbyt często... A kapłani nawołują, ostrzegają, z litością patrzą na «nowoczesnych».

Należałoby się zastanowić nad tem, aby zrobić odwrót może w «dziewiątej godzinie», bo niewiadomo czy usłyszymy bicie «jedenastej godziny» — nie znając wyroków Bożych.

S. Dominika III. O. P.

DO CIEBIE, MATKO.

Do Ciebie, Matko, z padołu płaczu,
Niegodni Twojej litości wołamy:
My srogim losem doczesnym zgnębieni,
O lepsze jutro pokornie błagamy.

W ostatniej nędzy, niewyspaniu, głodzie
Do Ciebie, Matko, wznosimy swe ręce
Ostatnią nadzieję pokładamy w Tobie,
Że nam dasz pomoc w udręce.

My, którzy w życiu jesteśmy wzgardzeni,
W nędzy bez granic prawie przymieramy;
Z głodu i zimna nie daj ginąć, Pani
Oddal zło od nas, opiekuj się nami.

My, którzy dotąd tak mało Cię znamy,
Wierzymy mocno, że królujesz w niebie,
Królowo nasza, szczodrobliwa Pani
Ratuj nas w każdej potrzebie.

My chcemy służyć Tobie, Marjo,
Życiem zapału, życiem ofiary.
Ty blaskiem szczęścia dusze nam oświeć,
Serce miłością napełń dla wiary.

BR. SEBASTJAN, ALBERTYN.

Z życia domów albertyńskich

Wspomnienia z kalatowskiej pustelni ss. Albertynek.

Po niezłomnem postanowieniu udania się na Kalatówki do pustelni SS. Albertynek, pomimo przedstawień ze strony Sióstr — jak brak najprymitywniejszych wygód, więcej jak skromnego i surowego życia i pożywienia, monotonji, zimna i t. d. — wprowadziłam je w czyn. W zimny, czerwcowy dzień zapukałam do furty pustelni, prosząc o zezwolenie na kilkudniowy pobyt w eremie albertyńskim.

W rozmowie z miłą, pełną duchowej pogody, a nadewszystko życzliwości Siostrą Przełożoną na ponowione przez nią braki i niewygody, nie dałam się zbić z tropu i zamieszkałam w przeznaczonym dla mnie skromnym pokoiku - pustelni. Tu uwolniona choć na krótki czas z trosk życia codziennego i gwaru wielkomiejskiego, mogłam odetchnąć jakiemś życiem wewnętrznem, mogłam znaleźć choć na chwilę ciszę oraz ukojenie nietylko ciała, ale i ducha...

Po krótkim odpoczynku, korzystając z wczesnego przybycia na Mszę św. zwiedzam wnętrze maleńkiej kaplicy: jest ono ubogie ale nadzwyczaj schludne. Jedyny ołtarz umieszczony u stóp cudownego, pełnego wotów Krucyfiksu, przybrany bogato żywem kwieciem. Całość wywołuje przemiłe swojskie wrażenie, zwłaszcza na tych, którzy wychowani wśród ośrodków życia miejskiego, wspaniałych — o bezcennych nieraz rzeźbach i malowidłach — świątyniach, rzadko a może po raz pierwszy zapędzili się tutaj i oglądają z niekłamanym zachwytem prostą, ale nadzwyczaj dostojną świątynkę pustelniczą.

Słucham Mszy św... przez otwarte drzwi kaplicy dochodzi smętny i wdzięczny, choć nieskoordynowany śpiew różnorodnego ptactwa; lekki wietrzyk niesie i napełnia wnętrze kaplicy upajającym ozonem z otaczających smereków. Wśród głuchej ciszy słychać słowa kapłana, ledwo dosłyszalne tony organów i od czasu do czasu płynie modlitwa śpiewana przez siostry zakonne:

«O, gdybym mogła jak Marja druga
U stóp Twych Panie błagać przewinienia»...

Zasłuchana chwytam słowa prostej, błagalnej i rzewnej modlitwy, powtarzam je, by utkwiły mi na zawsze w pamięci...



Jedyny ołtarz w kaplicy s. s. Albertynek

Po skończonej Mszy św. oglądam pustelnię. Zbudowana u stóp szczytów: Kasprowego, Goryczkowych, Skupniowego Upłazu, Kopy Magóry przez Założyciela Zgromadzenia Brata Alberta, służyła pierwotnie dla chorych Braci. Skoro później Bracia pobudowali dla siebie nową siedzibę w połowie góry Krokwi, wśród Braci zwanej «śpiącą górką», zamieszkały tu Siostry Albertynki.

Ubogie, drewniane o licznych okienkach zabudowania, ułożone w czworobok, to celki sióstr zakonnych. Znużone pracą i wyczerpane z sił przybywają tu, by ratować zagrożone zdrowie a nieraz i życie, nabrać nowych sił i energji do dalszej pracy. Jeżeli zważy się jak ciężka jest praca Sióstr w rozlicznych żłobkach dziecięcych, zakładach dla sierot i opuszczonych dziewcząt, w szpitalach, a wreszcie w schroniskach dla bezdomnych kobiet, a której one



W ostatniej podróży na cmentarz zakopiański

oddają się z samozaparciem i poświęceniem, to przyznać musimy że słusznie należy im się wypoczynek w najpiękniejszym zakątku polskich Tatr.

Lecz niejedna z tych Sióstr już stąd nie wraca: wyniszczony organizm, złożony na barłóg boleści, spala się w gorączce oczekującc chwili, kiedy zamkną się powieki nieznanej mniszki na sen wieczny.

I nierzadko prosta sosnowa trumna nieznanej siostry, która już za życia wyrzekła się nietylko rodziców, krewnych i przyjaciółek, ale nawet własnego nazwiska, — zdąża samotna i uboga w towarzystwie kilku Sióstr współtowarzyszek na miejsce wiecznego spoczynku. Może gdzieś z góralskich opłotków wyrwie się z piersi pobożne westchnienie: «wiecny jej spocynek», a gdzieś w niejednym z licznych sierocińców, rozsianych po całej Polsce biednej sierocie, dla której była najlepszą matką i opiekunką, której może zwierzała swe tragiczne koleje życia, — spłyną z oczu łzy szczerego żalu za ukochaną siostrą-pustelnica.

Marja Wacławska.

Wycinki prasowe.

Najpotężniejszy szerzyciel czci Brata Alberta... prasa.

Na podstawie nadsyłanych nam przez instytucję prasową I. P. P. wycinków gazetowych, dotyczących spraw albertyńskich, możemy z łatwością sprawdzać gdzie i jakie ukazują się głosy o Bracie Albercie, Jego zgromadzeniu, zakładach. Spotykamy więc moc setnych artykułów o senzacyjnych nagłówkach. «Wśród umęczonych bezrobociem», «Oko w oko z kryzysem», «Gdzie znajdują przytułek najbiedniejsi», «Z dna nędzy»; to wszystko tytuły mniej lub więcej udałych reportaży z przytulisk. Brata Alberta. Celem ich jest zaspokoić

żądnych senzacyj czytelników takich czy owych dzienników. Co bowiem może pomóc biedakom sążnisty artykuł w gazecie?

Z radością czytamy za to wszelkie głosy o Bracie Albercie. Nie wymieniamy, ani nie przytaczamy ich na tem miejscu bo są to rzeczy ogólnie naszym czytelnikom znane, a przecież w tym wypadku nie o tych nam chodzi.

Stwierdzamy dalej, że większość artykułów, czy wzmianek kronikarskich o Bracie Albercie oznaczona jest ogólnie znanym skrótem K. A. P. Dla wyjaśnienia bliższego źródła tej niezwykle doniosłej kampanji prasowej, musimy wyjawić, że sprawa beatyfikacji Brata Alberta zyskała wielkiego przyjaciela w osobie Ks. Mgra Henryka Weryńskiego, przedstawiciela K. A. P.-owej w Krakowie. Znany i ceniony ten w całej Polsce publicysta i działacz katolicki, a przy tem niestrudzony szermierz prasowy idei Brata Alberta daje znać o sobie coraz to nowemi «pchnięciami w prasę» i to bardzo skutecznemi. Dlatego poczuwając się do miłego obowiązku podziękowania w imieniu tej rzeszy czcicieli Brata Alberta i przyjaciół Jego dzieła składamy tą drogą Katolickiej Agencji Prasowej oraz Ks. Mgr. Weryńskiemu Serdeczne «Bóg zapłać». Poniżej zamieszczamy zaś komunikat K. A. P.-owej, który zamieściła cala polska prasa katolicka z I. K. C., Głosem Narodu, Gazetą Poranną, Kurjerem Lwowskim na czele.

Sprawa beatyfikacji założyciela zgromadzenia Braci Albertynów znajduje coraz silniejszy oddźwięk w społeczeństwie polskiem. Echo tej sprawy odbiło się silnie w prasie naszej, znalazło się też przez K. A. P-ową, na łamach watykańskiego «Osservatore Romano».

JE. Książę Biskup Metr. Dr. Adam Stefan Sapieha, zleciwszy JE. Biskupowi Drowi Rospondowi wszystko co się tyczy spraw przygotowawczych związanych z procesem beatyfikacyjnym, wyraził życzenie, by Bracia Albertyni uprosili na postulatora beatyfikacji ks. prof. Króla, prokuratora XX. Misjonarzy (Łazarzystów) z Krakowa. Księdzu postulatorowi ułatwią pracę wszyscy ludzie dobrej woli, zgłaszając wiadomości, dotyczące czci Brata Alberta, modląc się o cuda za jego przyczyną, oraz propagując znajomość jego życia i cnót i t. d.

W. F.

Przez miłosierdzie na ołtarze.

W Rycerzu Niepokalanej czytamy o nowych kanonizacjach:

...Rok święty zaznaczył się w życiu Kościoła wyniesieniem na ołtarze szeregu świętych. Między innemi odbyła się w dn. 11 marca uroczystość kanonizacji błog. Ludwiki de Marillac, współzałożycielki zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia. Urodziła się ona dnia 12 sierpnia 1591 r. z pobożnych i szlachetnych rodziców. W młodości traci matkę. Bóg chce, aby poznała cierpienie. Po skończeniu szkół pragnie wstąpić do Sióstr Kapucynek, lecz szlachetny zamiar nie przychodzi do skutku ze względu na jej słabe zdrowie. W 15 roku życia odumiera ją ojciec. W r. 1613 na prośbę krewnych poślubia Antoniego le Gras, człowieka bogobojnego. Odtąd zapał jej do pracy na polu miłosierdzia podwaja się, nie przestaje być jednak dobrą matką i żoną. Troskliwie opiekuje się swym synem. W r. 1625, mąż jej umiera. Odtąd zupełnie się poświęca na służbę Bożą, idąc za słowami Chrystusa: «Ktoby przyjął jedno dziecię w imię moje, mnie przyjmuje». Pracuje pod kierunkiem św. Wincentego a Paulo. Sama dużo cierpiąc, miała też współczucie dla drugich. Z pomocą swego kierownika zakłada zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia, zwanych szarytkami. Życie jej jest pełne poświęcenia i ofiary. Umiera w r. 1660. W poczet błogosławionych zaliczona w r. 1920, a obecnie Kościół św. wyniósł ją na swe ołtarze.

Ojciec św. w wygłoszonej homilji zalecił wiernym naśladowanie cnót świętej, tem bardziej, że żadne zarządzenia prawne nie usuną zła jeśli nie będą poparte chrześcijańskiem miłosierdziem.

Kanonizacje te są dowodem, że Kościół zawsze ma w swem gronie szereg osób, wzbijających się na szczyty świętości. W każdym wieku, w każdej epoce najlepsze jego dzieci stwierdzają jego świętość, ciągłą żywotność i blask nadziemski, boski.

Czy przy czytaniu opisu życia i kanonizacji św. Ludwiki de Marillac nie pomyślimy o tem, że również Kościół św. w Polsce «ma zawsze w swem gronie szereg osób, wzbijających się na szczyty świętości», które tylko czekają na to, by staraniem ziomków zostały wyniesione na ołtarze ku chwale Polski, «Matki Świętych». Przecież i Ten, do którego nasza myśl się zwraca jest również synem Polski, tylko niestety jeszcze nie na ołtarzach.

Właśig.

Książki i wydawnictwa

Bibljoteczka Społeczna Kazimiery Berkanówny

Materjały dla pracy, organizacyj i uczelni.

„Tak mi ciężko" Rozmowy na czasie (wyczerpane).

Ty i ludzie. O kulturze współżycia (wyczerpane).

Co robić? (Wezwanie do pracy społecznej. Z własnych doświadczeń. Cena 2·50 zł).

Głos osoby świeckiej o Akcji Katolickiej, nazwanej skromnie pracą społeczną. Głos szczery, odważny, serdeczny, pragnący pobudzić po czynu ludzi opornych i nieuświadomionych.

Treść książki: Przygotowanie do pracy społecznej. Wychowanie. Zakres tej pracy: Akcja u nas, nad własnem pogłębieniem wiary i obyczajów. Praca wśród naszych innowierców i wreszcie akcja dla dalszych: dla pogan. Ostatni rozdział książki zajmuje się sposobami pracy, aby na tej podstawie ustalić metody pracy. Całość pisana prosto, przystępnie, zajmująco.

Którędy pójdziesz? Trzy drogi życia. Cena 1·20 zł.

Czwarty tomik bibljoteki Społecznej K. Berkanówny zawiera wskazówki dla wyboru stanu życia, do małżeństwa, do stanu duchownego lub do życia «w świecie» w stanie bezżennym dla jakiejś dobrej sprawy.

Książka nadaje się szczególnie dla kierowników towarzystw i rekolekcyj. Posiada spory spis adresów i literatury. Zdaje się, że jest jedyna w swoim rodzaju wydawnictwem w Polsce. Ze szczególniejszem umiłowaniem zajmuje się autorka sprawą powołania trzeciego t. j. pracy społecznej, która coraz bardziej wymaga całego człowieka. *N. R.*

O co chodzi? Kobieta w dobie kryzysu. Cena 1·50 zł.

Piąty tomik Bibljoteczki Społ. K.B. zajmuje się sprawami kobiety i rodziny stając w ich obronie. Ujęcie książeczki jest znów na wskroś praktyczne; autorka dała rozdziałom następujące tytuły: Kobieta puch marny? Być sobą. Zawodowość kobiety. Kobieta jako córka, żona, matka, koleżanka, siostra, społecznica, zawodowiec, patrjotka, katoliczka, człowiek i t. d. Jak poprzednie tomiki, tak i najnowszy ma przy końcu dopisy adresowe, umożliwiające czytelnikowi rozszerzenie swej wiedzy na podany temat. Adresy te tyczą się czasopism, książek i instytucyj, i to zarówno polskich jak i obcych.

P. E. Marie de Beaulien, M. Cap. **Le Pére Honorat de Biała.** Capucin Toulose. Les Voi Franciscaines 1932.

Oczom nie wierzymy, ale to prawda, że pierwszy życiorys O. Honorata z Białej, zm. 1916, ukazał się po francusku. W polskiem przygotowała go do druku śp. Stanisława Muśnicka, zgasła 1930 r. Książkę czyta się z zwruszeniem i wdzięcznością, budzi się życzenie wydania rękopisu polskiej autorki. Pisarz francuski opracował materjał ogromnie starannie i pieczołowicie, a zarazem szczerze i rzeczowo. Jest to pięknie i poważnie napisana książka. Mało rodaków dziś pamięta, że O. Honorat, kapucyn był w czasach przed zmartwychwstaniem Polski krzewicielem katolicyzmu i pracy społecznej w b. Kongresówce. Ukrywany, prześladowany, oczerniany, oszukiwany. A jednak wytrwały, odważny, pracowity i święty. Najgłośniejsza sprawa w jego życiu, to sekta marjawicka w Płocku. Dziś już zdyskredytowana i na wymarciu. Cały ten życiorys, to niezmiernie ciekawy przyczynek do historji Kościoła w Polsce w XIX w. pod zaborem rosyjskim *K. B.*

Św. Juda Tadeusz Apostoł.—Patron w rzeczach najtrudniejszych. Nabożeństwo do św. Judy Tadeusza. Broszurka wydana staraniem Służebnic Najświętszego Serca Jezusowego.

Broszurka zaopatrzona odpowiednim wstępem, zawiera życiorys św. Tadeusza, wyjaśnienia dotyczą istoty nabożeństwa do św. Judy Tadeusza i nowennę do tego świętego. Nabożeństwo do św. Judy Tadeusza było w zapomnieniu. Cześć dla św. Tadeusza ucierpiała wiele dla wspólności imienia z Judaszem Iskarjotą. — Niema prawie kościołów pod wezwaniem św. Tadeusza.

Cześć św. Tadeusza zaczyna się rozszerzać w ostatnich czasach. Ślicznie o tem pisze Ernest Hello w książce pod tytułem: «Oblicza Swiętych». A czemuż jeśli odkrywamy coraz to nowe gwiazdy na widzialnem sklepieniu niebios, czemu nie moglibyśmy ich odkrywać na tem innem ogromniejszem niebie.

Nabożeństwo do św. Józefa czekało na św. Teresę od Jezusa; św. Filomenę uczynił popularną św. Jan Maria Vianney proboszcz z Ars; nabożeństwo do św. Judy Tadeusza rozszerzyło się w ostatnich czasach we Francji i w Niemczech.

Polskie wydanie jest tłumaczeniem z 51 niemieckiego wydania. Św. Juda Tadeusz odbiera cześć jako patron w rzeczach trudnych i beznadziejnych. Polskie wydanie w tłumaczeniu ks. Stanisława Szpetnara ukazuje się właśnie jako votum dziękczynne za otrzymanie pomocy w okolicznościach najtrudniejszych. Broszura nadaje się do masowego rozszerzania. Do kapłanów zwracają się nieraz o pomoc i radę serca stroskane. Książeczka ta znaną była w Polsce w niemieckim wydaniu, przyniosła ulgę niejednemu zbolałemu sercu. Książka ta ma się przyczynić do rozszerzania nabożeństwa do św. Judy Tadeusza na polskiej ziemi; jeśli tylko promyczek nadziei spłynie na nasze serca stroskane przy czytaniu tej książeczki, zadanie jej będzie spełnione.

Zamówienia (cena 30 gr.) należy kierować pod adresem:

Administracja Wydawnictw Służebnic Najśw. Serca Jezusowego, Kielce Karczówka.

Odpowiedzi Redakcji:

P. Marta Andrzejewska. Bydgoszcz. Kalendarz Brata Alberta wysłaliśmy. Siostry Albertynki dotychczas nie wydają żadnego pisemka. Za pamięć dziękujemy.

Br. Albertyn. Najmocniej przepraszamy Autora artykułu «Tatry, Tatry» za wyłączenie jednego tylko fragmentu, bo całość stanowczo za długa. W dodatku opis wycieczki na Rysy był zamieszczony w nr. I «Naszej Myśli». Prosimy o wypowiedzenie swego zdania o «Bratnim Znaku».

Br. Sebastjan. Warszawa. Natychmiastowej odpowiedzi nie mogliśmy wysłać. Wiersz jednak zamieszczamy, ale na drugi raz prosimy coś lżejszego, aktualniejszego... no i prozą. Proszę o zwrócenie uwagi na dział: Z życia domów albertyńskich. Chętnie powitamy w osobie Wiel. Brata stałego korespondenta na stolicę.

Kol. Scheher. Lwów. Wiersz do Brata Alberta, razem z innemi odkładałem do dodatku, który dopiero teraz się ukazał, nie może jednak iść ze względów zasadniczych, które musi się uwzględniać dla dobra sprawy beatyfikacji. Na inne czekamy.

Fundusz beatyfikacyjny Brata Alberta.

Koło Wychowanków Albertyńskich w Krakowie ze zbiórki przeprowadzonej podczas wystawy prasy katolickiej złożyło na powyższy cel 23 zł. 30 gr. P. XX. za pomoc w pewnej sprawie 10 zł.

NIHIL OBSTAT

Wydawca: Br. Wincenty, Albertyn.
Za redakcję odpowiada Br. Viator. — Za administrację: Figiel Władysław.

Kraków — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Adres zwrotny: „Nasza Myśl“, Kraków, ul. Tad. Kościuszki 86.

„NASZA MYŚL“ informuje o życiu młodzieży zakładów Br. Br. Albertynów

Prenumerata roczna 1·60 zł. — — Cena numeru pojedyńczego 30 groszy

Konto P. K. O. Nr. 410.202 — Br. Br. Albertynów, Kraków.

ADRES WYDAWNICTWA:

Redakcja i Administracja „Nasza Myśl“, Kraków, ul. Kościuszki 86. Tel. 132-48